

Corbyn w potrzasku Brexitu

11 lutego 2019

Żarty się skończyły. Wygląda na to, że Wielka Brytania opuści Unię, zaliczając najtwardsze lądowanie z możliwych. Laburzyści pod wodzą Jeremy'ego Corbyna muszą w tej sprawie przestać chować głowę w piasek. Inaczej ostatecznie pożegnają się z marzeniami o władzy i przebudowie kraju.

Brytyjski parlament odrzucił projekt wyjścia z UE proponowany przez premier May. Kolejnego nie ma. Czas goni – Zjednoczone Królestwo ma czas do końca marca, by Radzie Europejskiej przedstawić warunki wyjścia z Unii, które zabezpieczą interesy mieszkańców Wielkiej Brytanii. Problem w tym, że unijni biurokraci wiedzą jedno: trzymają Brytyjczyków w garści, bo ci nie mają żadnego pomysłu na swój kraj poza UE. Obie strony wiedzą już, że nie ma o czym rozmawiać. Ostatni rządowy projekt przewidywał mniej więcej takie stosunki z Londynu z Brukselą, jakie z Unią wiązała Norwegia i Szwajcarię. Są to elementy unii celnej i wspólnego rynku z poważnym ograniczeniem swobody przepływu ludności. Nie mogło to jednak usatysfakcjonować twardych nacjonalistów, którzy wyrzucili projekt do kosza z powodu tzw. backstopu: możliwości pozostawienia swobodnego ruchu między Irlandią a Irlandią Północną.

Szowinistyczne szaleństwo pcha więc Brytanię ku najgorszej z możliwych ewentualności: wyjścia bez żadnej umowy. Oznacza to prawdopodobnie gwałtowną zapaść w gospodarce i na rynku pracy. Dojdzie do tego polityczny problem z milionami imigrantów, którzy nagle staną się nielegalni w sensie ścisłym. Londyn ma już w zanadrzu nawet plan ewakuacji królowej z kraju w razie wybuchu gniewu społecznego.

Brexit laburzystów: kwadratura koła

W kropce znalazła się Partia Pracy, która do tej pory nie miała żadnego pomysłu na odnalezienie się w sytuacji brexitu. Kraj zdaje się skazany na taki los, że laburzyści przestali, jak się wydaje, grać już na przyspieszone wybory, które z powodu nienawiści Brytyjczyków do May miały im dać władzę. Kierownictwo skupione wokół Jeremy'ego Corbyna szukało sposobów, by uniknąć odpowiedzialności za brexit, zwłaszcza w sytuacji, gdy wizja przewodniczącego pod tym względem znacząco różni się z nastrojami elektoratu.

Corbyn nie zdołał do tej pory przekonać "dołów" do tego, że opuszczenie Unii na lepszych warunkach niż proponują konserwatyści może być szansą na odnowę lewicowej polityki w kraju dzięki uwolnieniu Londynu od brukselskiego neoliberalizmu. Większość sympatyków Partii Pracy nie chce na razie słyszeć o niczym innym, tylko o pokrzyżowaniu planów nacjonalistów. Wielu z nich popiera ideę kolejnego referendum, które miałoby cofnąć decyzję głosowania z 2016 r. i powstrzymać brexit. Czołowi laburzyści, chowając głowy w piasek, tylko pogorszyli sytuację partii. Obecnie – odwrotnie niż rok temu – sondaże dają konserwatystom siedmiopunktową przewagę wyborczą nad laburzystami. Jest źle.

Prasa doniosła, że centrala związkowa branży transportowej TSSA sporządziła specjalny raport w sprawie brexitu, oparty na danych sondażowych, i przesłała go partii, a dokładnie frakcji Momentum, uznawanej za najtwardszych corbynistów. Dokument zawiera podobno jednoznaczny wniosek, że Labour wiele straci, jeżeli nie przyjmie postawy zdecydowanej przeciwnej wyjściu z Unii. Treść raportu nie pozostawia wątpliwości: w obecnej sytuacji zarówno poparcie rozvodu z UE, jak i otwarte przeciwstawienie mu się spowoduje u laburzystów straty. W drugim przypadku byłyby one po prostu mniejsze i doprowadziłyby podczas przyspieszonych wyborów do utraty 11 miejsc w parlamencie. Byłby to skutek rozczarowania części

elektoratu pro-brexitowego, która do tej pory popierała Partię Pracy z powodu antyestablishmentowej retoryki Corbyna. Jeżeli ugrupowanie poprze brexit w ostrzejszej lub łagodniejszej postaci, straciłoby jednak aż 45 parlamentarzystów. Oznaczałoby to druzgocącą klęskę – prawdziwie czarny scenariusz, biorąc pod uwagę, że cały miniony 2018 r. ubiegł laburzystom pod znakiem dumnego marszu po władzę – ekipa Corbyna zachowywała się tak, jakby już ją miała na wyciągnięcie ręki.

Twardzi antybrexitowcy stanowią poważną siłę kadrową partii, co sami dobrze rozumieją i starają się to wykorzystać. Muszą jednak uważać, by nie przestrzelić. Ich awangarda to zdecydowani przeciwnicy Corbyna, od dawna chętni do pozbawienia go władzy. Elektorat Labour jest prounijny, a jednocześnie wierny przewodniczącemu, który z pełną determinacją odnawia partię w duchu socjalistycznym. Trudno więc oczekiwać, by najradykałniejsi przeciwnicy brexitu, zdecydowani jednocześnie kontynuować spuściznę Blaira, uzyskali jakiegokolwiek poparcie dla swoich zapędów secesjonistycznych.

Takie zaś istnieją – na początku lutego donosił o nich "The Observer". Powołując się na "liczne źródła w Partii Pracy" magazyn informował, że szereg posłów, poirytowanych brakiem zdecydowanego stanowiska organizacji w sprawie brexitu, zdecydowana jest opuścić szeregi laburzystów i założyć nową centrową, mocno prounijną partię. Wśród buntowników znaleźli się zdaniem dziennikarzy m.in. Angela Smith, Chris Leslie i Luciana Berger, czyli znani partyjni liberałowie, starający się pogrążyć Corbyna na różnych frontach, łącznie z podłączaniem się do nagonki w sprawie jego rzekomego „antysemityzmu” i ubolewaniem, że przewodniczący wątpi w sens puczu przeciwko „dyktatorowi Maduro” w Wenezueli. Kilka dni później prasa doniosła, że z opuszczeniem Labour na tle stosunku do brexitu liczy się Owen Smith, rywal Corbyna podczas ostatnich wyborów na przewodniczącego. Podejrzani nie

potwierdzili tych doniesień, ani jasno im nie zaprzeczyli. Owen jednak dobitnie podkreślał, że ewentualność odejścia z partii należy w dzisiejszej sytuacji "zdecydowanie rozważyć", sugerując, że kierownictwo partii zdradziło socjaldemokratyczne ideały, które jego zdaniem ucieleśnia Unia Europejska.

Bardzo wątpliwe, by „separatyści” spełnili swoje groźby, ponieważ po odejściu z partii zostaliby kompletnie „na lodzie”. Tym bardziej jeżeli doszłoby do tego, że zgodnie z sugestiami mediów, w nowej partii miałoby dojść do połączenia się z dezertierami spośród konserwatystów i liberalnych demokratów. Twardy elektorat Partii Pracy uznałby to bezdyskusyjnie za zdradę. Brexit jest w ich oczach osią silnej polaryzacji politycznej: jest postrzegany jako ksenofobiczny projekt Torysów (choć nie do końca tak jest), a bunt przeciwko niemu i ideowe trwanie przy „projekcie europejskim” stanowi obecnie sedno laburzystowskiej tożsamości i nakazuje bić się o niego w szeregach partii.

„Rebielianci” nie narobią więc partii wielkich szkód, korzystając jednak ze wzmożenia nastrojów antybrexitowych czują się coraz pewniej. Na tyle pewnie, że ostatnio dziewięciu z 25 „ministrów” gabinetu cieni sprzeciwiło się poparciu pakietu poprawek, jakie Partia Pracy zaproponowała do nieszczęsnego projektu brexitu Theresy May, który nie odpowiadał nikomu i mógł prowadzić tylko do bezumownego wyjścia z UE. W odrzuceniu laburzystowskich poprawek betonowi antybrexitowscy połączyli więc siły z fanatycznymi torysowskimi i nacjonalistycznymi brexitowcami, gotowymi wypchnąć Brytanię z Unii zupełnie „na wariackich papierach”. Pełna polityczna determinacja, by koniecznie zaakcentować ideologiczną bezkompromisowość, doprowadziła więc – jak to często bywa – do paradoksu.

Najbardziej prounijna część elektoratu Labour to najmłodszy wyborcy, mieszczący się w studenckiej kategorii wiekowej. To oni właśnie najsilniej wierzą w Corbyna i stoją za masowym

wzrostem liczebności partii po objęciu przez niego funkcji przewodniczącego. Co ciekawe, jest tak, mimo że ich idol – delikatnie mówiąc – nie podziela ich euroentuzjazmu. Media społecznościowe obiegił ostatnio materiał wideo sprzed dziesięciu lat, na którym Jeremy Corbyn pomstuje na UE jako na “wielkiego Frankensteina”, który ostatecznie doprowadzi Brytyjczyków do ruiny. Krytykując w ten sposób Traktat Lizboński ostrzegał wtedy przed “Imperium Europejskim”, które będzie skakać na każde skinienie NATO – jak przystało na socjalistę starej daty, dodał więc do tego sosu szczypty szczerego antymilitaryzmu. Szef Labour należy do pokolenia lewicowców od początku nieufnego wobec projektu Unii, którego fundamentem był traktat z Maastricht. Ich obawy raczej się sprawdziły: gospodarczy ustrój Unii, potwierdzony w Traktacie Lizbońskim, utrwalił nierówności, biedę i władzę kapitału w Wielkiej Brytanii, a plagi te sprowokowały nacjonalistów do coraz skuteczniejszego obarczania imigrantów winą za wszelkie zło trapiące mieszkańców UK.

Uzasadniona niechęć Corbyna do UE jako do neoliberalnego lewiatana jest znana i prowokuje ataki pod jego adresem ze strony członków partyjnej biurokracji nadal żywiącej sentyment do liberalnej doktryny Tony’ego Blaira i bezpiecznej symbiozy z biznesem. Eurosceptycyzm przewodniczącego nie powoduje jednak na razie widocznego buntu szerokich mas laburzystowskich. Dotyczy to również członków Momentum, które uchodzi za grupę “skrajnie lewicową” i na tej zasadzie można by domniemywać, że jako betonowi corbyniści będą nieugięcie stali na stanowisku “lewicowego brexitu”. Tymczasem nic podobnego: znaczna część z nich tworzy platformę “Inna Europa jest możliwa”, głoszącą ideę rekonstrukcji UE na lewicową modłę. Teraz domagają się odwołania z parlamentu tych liberalnych deputowanych, którzy akceptują Unię bezkrytycznie i postanowili na złość Corbynowi nie głosować za poprawkami własnej partii, pracując w ten sposób na bexit według May. Nie wygląda więc na to, by zagorzali zwolennicy Corbyna godzili się w obliczu wyjścia z Unii na odegranie roli bezwolnego

stada lemingów – forsują własne stanowisko. Prawdopodobnie dochodzi w ten sposób do głosu dialektyka wzajemnego stosunku “góry” i “dołów”, kiedy szeregowi członkowie, świadomi tego, że w zamian za wcześniejsze poparcie “coś im się należy” oczekują, że teraz polityka kierownictwa odpowie na ich oczekiwania.

Pierwszy krok naprzód

Wiele wskazuje na to, że się nie pomylą. Wierchuszka coraz lepiej rozumie nastroje w partii i fakt, że w obliczu indolencji May skontrolowanie projektu jej umowy wydaje się jedynym sposobem, by samemu się nie skompromitować. Corbyn postanowił więc po raz pierwszy zagrać odważniej i zaproponować jakąś konstruktywną wizję wyjścia z impasu. Nie jest to na razie nic radykalnego, ani nic bliskiemu jego sercu, stanowi za to na pewno wyjście naprzeciw oczekiwaniom większości elektoratu. Szef Labour wystosował list otwarty do premier, w którym oprócz krytyki jej projektu umowy z UE zawarł pięć warunków, które “brexit musi spełnić, by uzyskać akceptację Partii Pracy w parlamencie. Są to: 1) “trwała i całościowa unia celna” wiążąca cały obszar Wielkiej Brytanii, 2) ścisły związek krajowej gospodarki z unijnym wspólnym rynkiem, oparty na “wspólnych instytucjach”, 3) “dynamiczne dostosowanie na obszarze praw i ochrony interesu obywateli” – chodzi przede wszystkim o zapewnienie praw pracowniczych co najmniej na poziomie gwarantowanym przez przepisy UE, 4) jasna deklaracja, że Wielka Brytania będzie uczestniczyć (nie wiadomo na ile aktywnie) w instytucjach unijnych i korzystać z funduszy UE, 5) jednoznaczna gwarancja uzgodnienia współpracy na obszarze przepisów bezpieczeństwa, m.in. europejskiego nakazu aresztowania.

Szału nie ma. Nadal wygląda to na korektę projektu May. Z drugiej strony przedstawione warunki idą na tyle daleko, że sprawiają wrażenie jakby Partia Pracy, owszem, akceptowała wyjście z Unii, ale tylko jedną nogą – bardziej nominalnie niż

realnie. Sympatycy idei “lewicowego brexitu” mają powody do niezadowolenia, słusznie bowiem zauważa autor wstępniaka w Morning Star, że powyższe propozycje w żadnym stopniu nie kwestionują neoliberalnego charakteru Unii. Przekonanemu socjaliście nie godzi się brać “instytucji wspólnego rynku” za dobrą monetę. A przecież niecały rok temu Corbyn roztaczał wizję, zgodnie z którą ewentualne pozostanie w Unii musi się na jego kraju wiązać z gwarancjami umożliwiającymi politykę nacjonalizacji i wielkoskalowego interwencjonizmu, niemożliwą przy w obecnym kształcie ustrojowym UE.

Jak widać, przy panującej polaryzacji myślenie krótkoterminowe bierze górę, każąc się ustosunkować przede wszystkim bezpośrednio do budzącego emocje projektu May. Zwolennicy pozostania w UE, tak się jednak ostatnio zradykalizowali i skoncentrowali na promocji idei ponownego referendum, że wydawało się, iż zadowolili ich wyłącznie deklaracja pełnego powrotu na łono Unii. Nie atakują jednak Corbyna. Jak słusznie zauważa jeden z komentatorów, jest tak prawdopodobnie dlatego, że wszyscy zdają sobie sprawę, że warunki Corbyna są w istocie zaporowe i nie mają szansy zyskać akceptacji rządu, który stara się obecnie grać na poparcie nacjonalistów. Trudno więc na tej podstawie zwolennikom pozostania atakować Corbyna za “wysługiwanie” się May w wyprowadzaniu kraju z UE. Biorąc dodatkowo pod uwagę, że czasu do skonstruowania dobrej umowy pozostało Wielkiej Brytanii bardzo mało, można interpretować ostatni ten ruch jako gotowość do zablokowania brexitu w ogóle, co jest jednak o tyle trudne, że w praktyce wymagałoby błyskawicznego rozpisania nowego referendum. De facto nadal więc mamy do czynienia z polityką walenia pięścią w stół na znak niezgody.

Zbudować nową Europę

Analityczka z London School of Economics rozsądnie zauważa, że praktycznie jedynym dobrym dla laburzystów wyjściem byłoby połączenie idei pozostania w UE – którą zwyczajnie muszą

przyjąć ze względu na okoliczności – z przekształceniem jej w ruch na rzecz reformy Unii w duchu lewicowym, czyli zdecydowanego ograniczenia jej neoliberalnego charakteru, przede wszystkim dyktatu EBC narzucającego poszczególnym rządów politykę bezlitosnych cięć, praktycznie bez możliwości demokratycznego sprzeciwu. Brexit jest rodzajem “dopustu bożego”, wymogiem chwili, z którym trzeba sobie poradzić, by mieć to już za sobą. Jeśli jednak Partia Pracy rzeczywiście chce rządzić i to tak, by zmienić kraj, konieczne jest wykroczenie poza perspektywę, która obecnie wydaje się laburzystów paraliżować.

Głosy dochodzące z terenu całej Wielkiej Brytanii, przede wszystkim zaś z prowincji, w postaci reportaży, sondaży i badań socjologicznych mówią wyraźnie, że ludzie oczekują zmian, wobec których kwestia pozostania w UE lub jej opuszczenia jawi się jako sprawa drugorzędna. Deterioracja gospodarki i samej tkanki społecznej zaszła tak daleko, że niepewność w sprawie brexitu, niezależnie od ostatecznego wyniku, nakłada tylko na Brytyjczyków ryzyko pogłębienia ich postępującego ubóstwa, które stało się ostatnio tak oczywiste, że ma się nim zająć komisja ONZ ds. praw człowieka. Wzrost biedy, nierówności, niepewności materialnej i niemożności skutecznego wydzwignięcia się z niekończącego się kryzysu społecznego jest plagą, która trawi cały kontynent. Lewica w całej Europie szuka też sposobu na skuteczne przeciwstawienie się fali nacjonalizmu i ksenofobii. Lokalne rozwiązanie, którego poszukuje Partia Pracy, powinno zatem stać się programem dla Europy i na tym laburzyści powinni oprzeć swoją wizję sprzeciwu wobec brexitu. Opieranie się cynicznym propozycjom Theresy May może być tylko pierwszym – i nie ukrywajmy: najłatwiejszym – krokiem naprzód.

Inaczej niż sam Corbyn, wyborcy i szeregowi członkowie Labour widzą brexit jako projekt czysto nacjonalistyczny. Trudno odmówić im racji. Niezależnie od teoretycznej możliwości przekucia go w inicjatywę antykapitalistyczne, ksenofobia od

początku określała jego polityczną praktykę. Nic dziwnego, że większość brytyjskiej lewicy czuje potrzebę przeciwstawienia się tendencjom izolacjonistycznym, za którymi nie kryją się żadne postępowe motywy, a ton całemu przedsięwzięciu nadaje twarda prawica. Owszem, obecne unijne przepisy o konkurencji i pomocy publicznej będą przeszkodą w dalekosiężnych planach gospodarczych Corbyna, jeżeli zastąpi on May na stanowisku premiera. Prawdą jest też, że obecność w Unii nie daje Brytanii jakiegokolwiek gwarancji poprawy sytuacji społecznej i gospodarczej, bo odkąd funkcjonuje w jej ramach wskaźniki makroekonomiczne i społeczne tylko się pogarszają. Lecz jednocześnie gwałtowne i bezumowne opuszczenie europejskich struktur może dodatkowo pogorszyć sytuację bieżącą. Nie wygląda również na to, by polityka "im gorzej tym lepiej" mogła przynieść oczekiwane korzyści społeczne – zwłaszcza w sytuacji, gdy postępową formacja polityczna wykaże się indolencją i utraci wiarygodność.

Problem lidera laburzystów polega na tym, że stosunek Brytyjczyków do brexitu nie układa się według tych osi, które jemu odpowiadają. Część antyestablishmentowo nastawionych wyborców Partii Pracy, którzy są pryncypialnie za wyjściem z UE, to za mało, by przeforsować "lewicowy brexit". Jakkolwiek socjalista Jeremy Corbyn nie znosi Unii – tego kapitalistycznego "Frankensteina" – musi na razie pogodzić się z dwiema rzeczami: uznać prounijne nastawienie swojej bazy społecznej, od której zależy politycznie, a która chce jednocześnie zmierzać w proponowanym przez niego kierunku uspołecznienia gospodarki. Oraz fakt, że poważne potraktowanie misji socjalizm to konieczność sprostania wyzwaniu poważniejszemu niż sam brexit – jest nim rzeczywisty przewrót klasowy i pozbawienie władzy „jednego procentu”, by tym samym naruszyć fundamenty kapitalizmu.

Brexit trzeba po prostu rozegrać tak, by euroentuzjastyczne nastroje móc spożytkować na rzecz postępowej polityki europejskiej. Trudno bowiem uciec od faktu, że pełne

sprzężenie brytyjskiej gospodarki z europejskim kapitalizmem, coraz bardziej zależnym od łupienia mas przez elity finansowe, każe po raz kolejny przemyśleć sens budowy kapitalizmu w jednym kraju. Idee Corbyna są w końcu ideami dla Europy, a Europejczycy, umordowani neoliberalizmem, jak np. "żółte kamizelki", chętnie za nimi pójdą.

Autorstwo: Paweł Jaworski

Źródło: Strajk.eu